ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Kwietnia    Nr 16.    Roku 1844.

## RZEŹNIK Z ROUEN.

Bertold, majętny rzeźnik z Rouen, był jako człowiek śmiały i namiętny w całém mieście znany. Gdy z założonemi na krzyż rękoma przed drzwiami swego domostwa stanął, niktby się wtedy krzywo na niego spojrzéć nie był poważył. Każdy go się strzegł i lękał, a nawet sama Alika nie mogła bez strachu słyszéć jego głosu. Zawsze ją w jego obecności jakieś z trwogą połączone przejmowało uszanowanie, nie śmiała i oczu podnieść ku niemu. A przecież ten lew, był dla niéj barankiem. Na jéj widok ustawało mu tchnienie w piersi, na jéj widok drżało olbrzymie ciało jego, jak drży liść brzozy w powiewie wiatru, a ręka jego, która jedném uderzeniem byłaby wołu o ziemię obaliła, zaledwie śmiała dotknąć się palców uroczéj dziewicy, którą namiętnie kochał.

Alika była córką Fitz Stefana, słynnego żeglarza z Harfleur, który żyjąc ciągle na morzu, oddał swoje dziecię w dozor matce Bertolda. Stara ta kobiéta postrzegła wkrótce skłonność swojego syna, a śmielsza wtém od niego, oznajmiła ojcu Stefanowi swoje życzenie połączenia obojga młodych ludzi. Stary żeglarz zezwolił na ten związek z ochotą. Ale potrzeba było jeszcze zezwolenia dziewczyny. Ta się wahała czas długi, aż nareszcie szczére przywiązanie Bertolda ujęło jéj młode serce, dotąd miłości nieświadome. Nagle jednakże zaszła wielka zmiana z dziewczyną. Pogrążyła się w nieustanną zadumę, a jéj rodzina nie spostrzegła, iż ten smutek ją od tego dnia ogarnął, gdy ujrzała młodego księcia Wilhelma, syna Henryka I., wjeżdżającego w bramy miasta na czele strojnego rycerstwa. Po krótkim wszakże czasie wróciła znowu dawna pogoda na jéj lice; uznała zapewne: iż nadzieja być upodobaną od książęcia z królewskiéj krwi angielskiéj, jestto zbyt dumne marzenie dla ubogiéj z ludu dziewczyny; a po spełzłéj nadziei, zamieszkał znowu pokój w jéj duszy.

Jednego popołudnia stała na progu bertoldowego domu, zamyślona o swojém weselu, które się nazajutrz odbyć miało, gdy oto jakiś młody i bardzo skromnie ubrany mężczyzna zbliżył się do niéj i w te do stojącego przy niéj narzeczonego przemówił słowa:

»Marcinie Bertoldzie, jestem paziem księcia Wilhelma angielskiego. Mój pan wyprawia jutro sutą ucztę na cześć bożego narodzenia; przychodzę więc was prosić, abyście na tę uroczystość zabili waszego najtłuściejszego wołu.«

Bertold pomyśliwszy odwrócił się na chwilkę, a wtedy mniemany paź szepnął Alice do ucha:

»Jestem książę Wilhelm i kocham cię!«

Dziewczyna tém niespodzianém wyznaniem zmieszana, podniosła oczy ku mówiącemu, ale nie miała siły wyrzec i słowa.

»Za godzinę« — szepnął Wilhelm znowu— »będę przechodził tędy na czele licznego orszaku; jeźli mi pozwolisz mieć nadzieję, upuść jaki znak z okna.«

Po tych słowach znikł książę a Alika została w najżywszém pomieszaniu.

»Poselstwo pazia,« przemówił Bertold, »przypomina mi, iż niezadługo ujrzymy świetny poczet rycerzy, na których czele książę Wilhelm po-przed nasz dom przejeżdżać będzie. Ubierz się prędko Aliko.«

»Nie wiém,« odpowiedziała dziewica, nie-

spokojona już wyrzutami sumienia, »czy będę jeszcze miała dość czasu nato.«

»O, do twojego stroju nie trzeba długiego czasu. Może już nigdy w życiu nie obaczysz takiego widowiska.«

Alika poszła ubrać się w swoję najlepszą świąteczną suknię.

»Za prawdę,« pomyślała sobie, »ujrzéć księcia poraz ostatni, nie znaczy jeszcze zdradzać Bertolda.«

Gdy się już wystroiła i chciała stanąć przy oknie, wetknął jéj Bertold pęk kwiatów w rękę i rzekł:

»Weź Aliko, to uzupełni twoje ubranie. — Cóżto? nie chcesz przyjąć odemnie kwiatów?« rzekł, postrzegłszy że jego narzeczona z trwogą odsuwała równiankę — »nie będęż jutro twoim małżonkiem?«

— »I czemużbym nie miała przyjąć kwiatów?« pomyślała Alika, »wszak ich nie upuszczę i będę je mocno trzymała.«

Przyjęła tedy równiankę a wkrótce oznajmił hałas ludu w ulicy, iż się świetny orszak przybliża.

Alika jednakże tylko jedną myślą była zajęta, a ta jéj nie dozwoliła na co innego zwrócić uwagę, aż dopiéro wtedy, gdy okrzyki tłumu księcia powitały.

Nigdy jeszcze książę nie wydał się jéj powabniejszym. Swawolny wietrzyk igrał jego jasnemi włosy; przepyszny ubior dodawał jego młodzieńczéj urodzie królewskiéj spaniałości; rzucił na Alikę błagające spojrzenie, którego nikt prócz niéj nie rozumiał, a młode dziewczę drzało jak winowajca wiedziony na rusztowanie. I w téjto chwili wymknęła się jéj wiązanka kwiatów z ręki i upadła tuż przed książęciem w ulicę.

»Jaka szkoda!« zawołał Bertold, — »lecz je zaraz podejmę.«

Niewypowiedziana radość zajaśniała na licu Wilhelma, gdy go tymczasem jego dzielny rumak szybko od ukochanéj dziewczyny unosił.

Przez cały wieczór dumała Alika ze zgrozą o swojém weselu. Ojciec jéj, który już przed wieczorem miał zjechać, nie przybył jeszcze do tego czasu. Samotna w swojéj izdebce, siedziała Alika w starém poręczowem krześle i nie mogła usnąć. Aż oto razem zasłyszała jakiś koło siebie szelest, chciała już ze strachu skrzyknąć, ale w téjże chwili delikatna ręka zamknęła jéj z lekka usta.

»Ach, przebóg, puść mię, uciekaj —« zawołała Alika — »albo zbudzę dziewczynę, która w przyległéj drzémie komnacie.«

»Tej się nie lękam, bom ją ujął dla siebie;« rzekł książę, »onato otworzyła mi drzwi do ciebie. Nie ustąpię ztąd piérwéj, aż mi przebaczysz.«

»Ach, uciekaj, uciekaj, zaklinam cię na Boga!« błagała przestraszona dziewczyna, »uciekaj — jeźli mię — kochasz!«

»Jabym rad tutaj zostać!« odrzekł książę z uśmiéchem.

»W téj chwili dało się słyszéć, że ktoś pospiesznym krokiem ku domowi zbliża się na ulicy, a wkrótce ozwał się głos, rozkazujący drzwi otworzyć.

»Ach, to mój ojciec,« wykrzyknęła Alika — »już tu idzie! O, uciekaj ztąd książę!«

»Wtedy,« odpowiedział Wilhelm siadając, »kiedy i ty ze mną ztąd pójdziesz.«

»Ja z tobą książę! O wielkie nieba!«

»Tak, na Boga! Anglija i Normandyja bez ciebie niczém dla mnie; całe moje szczęście w tobie jednéj!«

»Oddal się — na imię najwyższego! — Słyszę kroki mojego ojca... już jest na wschodach...«

»Ha —« odrzekł książę, — będą mniemać żem złodziej i zabiją mnie; nie będę się im opiérał. Wtedy nie będziesz już więcéj wątpić o méj miłości.«

»Lecz jakże mogę uciekać z tobą książę, wszak zdybałabym się z ojcem!«

»Nie zdybiesz się z nim,« przerwał książę — »tędy przez okno dostaniemy się na uliczkę. Już nas tam konie czekają.«

— »Aliko! Gdzież jesteś Aliko!« wołał Stefan żeglarz głosem rozchodzącym się po całym domu.

»Mój ojciec! — Zgubionam! Znajdzie was w mojéj izdebce. — Książę, miejcie litość!«

»Pójdź ze mną —« to rzekłszy, uniósł dziewczynę do przyległéj komnaty.

Niebawem dał się słyszéć w uliczce pospieszny tętęt koni, i znowu wszystko ucichło w głuchém milczeniu nocy.

*

**2.**

Nikt się nie domyśliwał, jak potężne ramię rozerwało tajemniczym sposobem szczęście dwojga ludzi. Jedna tylko wyszywana rękawiczka, która w izdebce Aliki pozostała, świadczyła iż sprawca uwięzienia Aliki pochodził z możnego rodu. Ponura rozpacz ogarnęła od owéj strasznéj nocy ojca i narzeczonego Aliki. Ten ostatni najsrożéj ciérpiał, bo jego boleść musiała walczyć z młodém i silném ciałem. Jedyném życzeniem Bertolda było wynaleźć ślad swéj kochanki. Stefan przeciwnie nie żądał żadnéj pewności o losie swojéj córki, bo wolał wystawiać ją sobie umarłą niż zhańbioną: Bez czucia odtąd dla wszelkich wzruszeń serca, budził się stary kapitan tylko wtedy ze swéj zadumy, gdy o jego żeglarską sławę chodziło. Nie mogąc się już więcéj szczycić Aliką, pokładał całą swą miłość własną w chlubie, jaką mu długoletnie pełnienie jego morskiéj służby zjednało.

Wkrótce po zniknieniu dziewczyny dotknął go cios nowy, gdy się dowiedział, iż król angielski, aby się przewieźć ze swémi dziećmi do Anglii, wybrał inny nie jego okręt. Król Henryk chciał przed wyjazdem obejrzéć statek na który padł wybór jego. Przy téj sposobności zbliżył się stary żeglarz z pokorą do swego króla.

»Czego żądasz?« zapytał Henryk.

»Błagam cię, Sire, zachować moją siwę głowę od hańby, która jéj grozi «

»Któż ci chce jaką hańbę wyrządzić?«

»Często, Sire, juž i to gorzéj od hańby boli, jeżeli się człek czuje pominionym. Nazywam się Fitz Stefan i jestem żeglarzem z Harfleur. Mój ojciec miał zaszczyt przewozić na swym okręcie dziada twojego królu, Wilhelma zdobywcę, gdy się tenże na sławną wyprawę swoję wybiérał. Wiekopomny mocarz ten udzielił memu ojcu i jego potomkom w nagrodę odwagi okazanéj podczas jednéj okropnéj burzy i w nagrodę przytomności umysłu jego, wyłączny przywilej przewożenia jego królewskiéj osoby i jego następców z Normandyi do Anglii tak długo, aż jedna z obu rodzin królewskich nie wygaśnie. Liczyłem Sire z tak wielką pewnością na ten zaszczyt, pozostawiony przez twego przodka w dziedzictwo rodzinie mojéj, żem dla przewiezienia ciebie królu do Anglii, kazał umyślnie wybudować ten okręt który tu widzisz. Nie spodziéwałem się aby mnie pozbawiać miano przywileju, który mnie tak słusznie, jak tobie królu Anglija, przynależy. Dowiedziawszy się o wyznaczeniu innego okrętu do twojéj podróży, ośmieliłem się w osobném piśmie, kapitanowi straży królewskiéj doręczoném, wyłożyć moje prawa do tego zaszczytu.«

Król Henryk zwrócił się do kapitana straży, który z téj sprawy nie umiał się usprawiedliwić. Był bowiem skrycie przychylnym rywalowi naszego Fitz-Stefana.

»Mocno mi w istocie żal tego, mój zacny kapitanie —« odpowiedział król po namyśle, ale cóż robić, dałem już moje słowo innemu. Prócz tego, zdaje mi się, iż twój okręt jest więcéj na pozór spaniały niż w sobie mocno zbudowany. Idź do mojego podskarbiego, niech ci 30 kron w wynagrodzenie szkody wyliczy.«

»Sire,« odparł Stefan — »w naszéj rodzinie nie jest we zwyczaju, abyśmy przyjmowali pieniędze, które się nam słusznie nie przynależą. Nie chciałeś wasza królewska mość przyjąć mego okrętu *Candide*, który stosownie do mego przywileju na twoję usługę zbudowałem. Nie sądzisz się być dość bezpiecznym na statku, którym Fitz-Stefan stéruje, jestto hańba, na którą musiał zasłużyć, bo ona nie jest już piérwszą, jaką Bóg na mnie zsyła! Jednakże dobroć twoja królu, wzrusza mię i każe być posłusznym.« To rzekłszy chciał już odejść.

»Zostań jeszcze na chwilę,« ozwał się książę Wilhelm, który właśnie nadszedł. »Mam ci coś w pociechę powiedzieć. Nie masz czego rozpaczać. Mój ojciec zawarł wprawdzie o swój przewóz z innym ugodę, ale ja od danego słowa jestem wolny: a jeżeli z moim bratem wsiędziemy na twój okręt, tedy nie ze wszystkiém stracisz na téj zamianie.«

Promień radości zajaśniał na twarzy starego żeglarza.

»Chętnie się na to zgadzam, najłaskawszy książę!« odpowiedział Stefan.

»Ja i mój brat —« mówił książę Wilhelm, wziąwszy starego kapitana na stronę — »nie mamy wielkiéj ochoty przewozić się na tym samym okręcie co nasz ojciec; jego ponurość jest zaraźliwa. My jesteśmy młodzi ludzie, którzy śród zapust nie lubią zaczynać postu. Czyż już nie dosyć, żeśmy na stałym lądzie żyli jak mnichy, aby jeszcze na morzu nie rozweselić się cokolwiek? Nim jednak nasze zawrzemy umowę, musisz nam przysiądz, iż prócz tych osób które ja ci wymienię, nie przyjmiesz nikogo na swój okręt.«

Stary kapitan skłonił się z uszanowaniem i złożył żądaną przysięgę. Poczém zbliżywszy się do ojca, przedłożył mu swoję prośbę. Król Henryk nie chciał zrazu zezwolić, ale że dzieci jego wszystko na nim wymódz umiały, skłonił się nareszcie na żądanie Wilhelma.

*

— »Niechaj więc będzie, jak sobie życzysz, mój synu —« rzekł i zwrócił się do Stefana. »Na szczęście, jak się zdaje, podróż nasza nie potrwa długo. Powierzam ci książęcia Wilhelma, dziedzica mojéj korony. Z nim razem twojéj pieczy oddaję jego brata Ryszarda i Matyldę, hrabinę *de Perche* siostrę jego. Pamiętaj wszakże, że po klęskach jakie śmierć nielitościwa mojéj niegdyś tak licznéj rodzinie zadała, to już całe moje potomstwo! Na twoim okręcie wieźć będziesz ostatnią nadzieję państwa, które Wilhelm zdobywca założył.«

»Sire,« odrzekł żeglarz — »żadne niebezpieczeństwo, za pomocą bożą, nie zagrozi książętom w czasie téj krótkiéj podróży. Gdyby jednak nad wszelkie podobieństwo zdarzył się jaki wypadek, przysięgam tu w obliczu Boga, że oddam moje i moich majtków życie dla ich ocalenia.«

»Poczciwy starzec,« szepnął król swemu powiernikowi. »Chętnie mu powierzam, co mam najdroższego na ziemi.«

*

## 3.

Liczne tłumy ludu cisnęły się do przystani w Harfleur, gdzie królewska rodzina miała wsiadać na okręt. Bertold, który w smutku swoim błąkał się bez celu, szedł prawie mimo woli za ludem i stanął sobie za szeregiem żołnierzy, dla łatwego przechodu książąt ustawionym. Nikt mu nie śmiał pierwszego zaprzeczać miejsca. Okręt *Candide* stał na kotwicy w niejakiéj od brzegu odległości, a Stefan przygotowywał się na pokładzie do przyjęcia dostojnych osób. Najprzód przybył młody Ryszard, w towarzystwie swojéj siostry Matyldy i kilku panów ze szlachty. Za nim szedł królewicz Wilhelm otoczony gronem rycerstwa, prowadząc za rękę jakąś damę starannie zasłonięta. Postać i chód nieznajoméj sprawiły wielkie wrażenie na Bertoldzie, wstrząsł się na samo domniemanie, a gdy w téj chwili powiew wiatru uchylił nieco zasłony, a on ujrzał znamię na jéj szyi, rzucił się z gwałtownym wykrzykiem ku niéj: lecz jeden z żołnierzy uderzył go potężnie w pierś halabardą. Olbrzym uniesiony gniewem zagroził pięstukami żyjącemu murowi, ale ten mur w odpowiedź skrzyżował halabardy i przekonał go o jego daremném usiłowaniu. Widząc iż przemocą nic nie wskóra, wziął się do prozb.

»Przepuśćcie mnie, waleczni bracia; jestem przyjacielem, nieledwie synem Stefana, dowódzcy tego okrętu, mam ważny powód prosić go aby mię wziął na okręt.«

»Żeglarz Stefan nie ma prawa zezwolić nato;« odrzekł groźno jeden z wyższych oficerów. »Obowiązał się wziąć takich tylko podróżnych, których sam królewic wyznaczy. Oddalcie się więc ztąd!«

Bertold zniknął pośród tłumu.

»Na przekor królewicowskiéj mości przecież, przyjmie *Candide* jednego podróżnego, którego się bynajmniéj nie spodziewa!« mruknął Bertold oddalając się z roziskrzoném okiem.

*

## 4.

Tymczasem miał już okręt odbić od brzegu, a wesołość na pokładzie stawała się coraz głośniéjszą. Książęta i panowie z ich orszaku, wolni wszelkiego nadzoru, pozwolili sobie rozpasanéj zabawy, jakby owi żakowie za szkołą. Skoro weszli do okrętu, powrzucali swoje kieski majtkom do kapeluszów, a ci będąc tego przekonania, iż pieniędze na morzu na nic się nie przydadzą, ponakupowali sobie na prędce zapasów wszelkiego rodzaju. Ledwie odbito od brzegu a już zaczęła cała okrętowa służba pić bez miary ku wielkiemu zmartwieniu Fitz-Stefana. Nadaremnie usiłował oprzéć się surową miną i ostrém słowem temu złemu, ale sami panowie szydzili z jego rozkazów i obwołali królestwo niewstrzemięźliwości na pokładzie.

Okręt odbył już część podróży a pijaństwo jeszcze nie ustawało. Prócz kapitana nie było ani jednego trzeźwego człowieka na pokładzie. Niespodzianie, jakby z powietrza przybyłe zjawisko, staje jakaś olbrzymia postać, okryta morską pianą, w kajucie królewica.

Byłto Bertold. Jako niezmordowany pływacz, nim jeszcze okręt odbił od brzegu, rzucił się był w morze i czekał w tym kierunku, w którym okręt płynąć będzie. Majtkowie ujrzawszy jakiegoś człowieka walczącego z falami w takiém oddaleniu od brzegu, wyciągnęli go z wody, nie pytawszy nawet o pozwolenie kapitana, będąc mocno pijani.

»Coto za człowiek! Czego on tu chce? Co znaczy ten napad! Precz ztąd!« wołali towarzysze książęcia, spostrzegłszy wchodzącego rzeźnika z Rouen.

»Jak widzę, w księdze przeznaczeń napisano,« rzekł śmiejąc się Ryszard, »aby nam dzisiaj wody do wina nalano!«

»Któżto taki ten Triton!« zawołał królewic Wilhelm. »Gdzież twoja muszla, i jak się miéwa Amfitryta?«

»Panie,« przemówił Bertold, zatrwożony nieco obecnością następcy tronu, »przebacz mojéj śmiałości, wziąłeś mi dziewczynę, którę ja kocham. Ona jest tu, siedzi przy twoim boku;

wróć mi ją, miej litość — wróć mi ją, zaklinam cię na Boga!«

Nie omylił się w swojém domniemaniu. Młoda zasłonięta dama, byłato istotnie Alika, która nieznając nowozbudowanego okrętu ojca swego, dała się bez obawy zaprowadzić na pokład.

»Ah, tyśto Bertold, ów rzeźnik z Rouen!« rzekł Wilhelm rozgrzany winem. »No, i cóż mój poczciwcze, zabiłżeś najtłuściejszego wołu na ucztę królewica?«

»Panie — błagam cię — gdybyś wiedział ile ta dziewczyna jest mi droga, ile do mego życia potrzebna, oddałbyś mi ją bez namysłu.«

»Stajesz się zuchwałym!« zawołał królewic w gniewie, wróć mi zaraz w wodę zkądeś wyszedł i pozostań tam tak długo, aż cię każem zawołać!«

»Królewicu,« odrzekł Bertold, »ja nie wyjdę z téj kajuty, aż mi nie przyrzekniesz oddać Alikę. Zlitujesz się nademną, bo łaska jest oznaką potęgi; Alika nie jest pewnie bez winy, lecz niech się dzieje co chce, ona musi być moją! Odkądem ją znowu obaczył — chociaż przy tobie — odzyskałem dawną wesołość. Panie, miej miłosierdzie nademną! Jesteś królewicem a udzielanie łaski jest prawem twojém; jesteś możnym, więc powinieneś być i litościwym.«

»Ta krotochwila trwa mi za długo!« zawołał Wilhelm i obejrzał się za swoim paziem. »Ajmerze,« rzekł do niego, »powiedz téż Fitz-Stefanowi, niech tu przyjdzie i uwolni nas od tego straszydła.

»Strzeż się królewicu—« odparł Bertold z wybuchem gniewu, który dotąd tłumił w sobie— »strzeż się i zważaj, iż: mimo twoję władzę, nie jesteś po-za obrębem zemsty rozpaczającego człowieka. Strzeż się i wiedz o tém, że jednem uderzeniem téj pięści mógłbym zgruchotać pancérz na twojéj królewskiéj piersi!«

»Nędzniku!« krzyknął Wilhelm, porwawszy się z krzesła. Wszyscy otaczający księcia, uczynili toż samo i jęli się do oręża. Uśmierzył ich wnet przecie sam królewic i dając ręką znak szlachcie, aby poszła za jego przykładem, mówił dalej tonem szyderskim:

»Widzisz biédaku, iż nimbyś o jeden krok ku mnie postąpił, jużby twoję bawolą skórę przeszyły groty dziesięciu łukowych strzelców. I cóżby twoja zwiérzęca siła przeciw dłoniom orężem uzbrojonym podołała? Nie chcę jednakże, aby takiéj przemocy zwycięztwo Wilhelma Atelinga, królewskiego książęcia Anglii, nad Bertoldem rzeźnikiem z Rouen przypisywano; — jeźli Alika zechce sama iść z tobą, tedy ją puszczam.«

»Aliko,« odezwał się Bertold — »błagam cię, zaklinam na miłość moję, wróć do mnie; twój powrót na drogę cnoty, tyle mię uszczęśliwi, iż o wszystkiém zapomnę. Przysięgam ci Aliko, iż żaden wyrzut nie postanie na moich ustach, — nie lękaj się i powróć do mnie!«

Młoda dziewczyna nie rzekła nic przez chwilę; czucie żalu i litości poruszyło jéj serce, alež oto po jednéj stronie stał królewic młody i piękny, ustrojony w jedwab i złoto, po drugiéj zwyczajny tylko i nieokrzesany prostak.

Dziewczyna ujęła rękę swego królewskiego kochanka i prowadząc ją do ust swoich — »Panie,« rzekła, »jestem twą służebnicą.«

»Masz więc« zawołał Wilhelm, »z jéj własnych ust wyrok, a teraz ruszaj pókiś żywy. Przebaczam ci twoję śmiałość, ale mi się nie pokazuj więcéj na oczy — albo moi rycerze obalą cię na ziemię, jak ty swoje obalasz woły.«

»Już za późno, już splamił jéj duszę i serce!« rzekł Bertold na wpół do siebie. »Jużto nie moja łagodna i niewinna Alika — wziął mi ją, lecz zemsty mi nie odebrał, a przez Boga, zemsta moja — będzie straszna!«

Na te słowa wszedł Fitz-Stefan do kajuty, a ztrwożona dziewczyna zapuściła z pośpiechem na twarz zasłonę.

»Przychodzę królewicu na twe rozkazy,« rzekł stary kapitan; »ale nie zabawiaj mię długo; zbliżamy się do niebezpiecznego miejsca, a ponieważ służba okrętowa pijaństwu się oddała, nie mogę powierzyć nikomu stéru prócz sobie samemu.«

»Chodzi tu oto,« rzekł Wilhelm, »abyś tego zapamiętalca do jakiéj łodzi wrzucić kazał, i na dalekie wygnał morze.... Mieliśmy to nieszczęście podobać się jego narzeczonéj, a on się ważył żyć nas za to. Przebaczamy mu jego niesłychaną bezczelność, lecz nie chcemy jéj doświadczać poraz drugi.«

»Narzeczonéj?« zapytał blednąc Fitz-Stefan.

»Nie do mnie teraz należy żądać jéj powrócenia,« przemówił spokojnie Bertold, »ona nie jest moją małżonką. Alika należy teraz do ojca, a jéj ojciec — stoi przed tobą panie.«

W każdym innym razie byłoby takie niespodziane odkrycie zmieszało nieochybnie królewica, jakkolwiek jego sumienie mało było drażliwe, tą razą jednak odjęło mu wino do tego stopnia wszelką przytomność, iż nawet obecność samego króla niebyłaby żadnego na nim uczyniła wrażenia.

»Jéj ojciec?« zawołał Wilhelm. »Możemy tedy wnosić, że mamy już tu całą rodzinę zgromadzoną.«

»Tak jest — oto wasza córka;« mówił Bertold, zwracając się do osłupiałego żeglarza. — »Wasza córka, którą królewic uwiózł, aby ją

wkrótce opuścić. A wyście dobijali się o zaszczyt, wieźć na swoim pokładzie człowieka, który zniszczył sławę waszéj rodziny.«

»Królewicu,« ozwał się jękliwym głosem Fitz-Stefan odzyskawszy władzę mówienia, »wielkiś błąd popełnił, boś pogrążył w smutku dwóch ludzi, którzy ci nic złego nie uczynili — i Bóg cię powoła do odpowiedzialności za ten niegodny postępek. Co się mnie tycze, dopóki cię nie wysadzę na ląd angielski, muszę ciebie strzedz i bronić jak przyrzekłem. Oddam cię całego i zdrowego twojemu ojcu. Chociażeś mnie sromotnie zhańbił, jednakże mam obowiązek, służyć ci wiernie. Bertoldzie, królewic rozkazał ci opuścić tę kajutę; on ma tu prawo rozkazywania, powinieneś go słuchać.«

»A teraz miłościwy panie,« dodał stary żeglarz odprowadziwszy wzrokiem Bertolda, który wyszedł zaciąwszy zęby, »teraz pozwól mi wrócić na pokład, okręt jest w niebezpieczeństwie; nie mogę odstąpić od steru, póki nie miniemy tego niebezpiecznego miejsca.«

»Mój ojcze!« zawołała Alika błagalnym głosem. »Oddalasz się nie przebaczywszy nieszczęśliwéj!«

Nadarmo starał się Wilhelm wstrzymać kochankę. Blada i drząca rzuciła się do nóg starego ojca, który jedném spojrzeniem otworzył jéj serce skrusze i hańby uczuciu, jakiego niemógł wzniecić w niéj Bertold.

»Przebacz mi, przebacz!« błagała śród łez i łkania, obejmując kolana starca.

Te skargi wzruszyły nareszcie ojca; gniew ustąpił boleści, a łzy zalały lica z-orane marszczkami.

»Prędkoż się skończy ta komedyja?« zawołał Wilhelm zawstydzony skruchą Aliki. »Szlochy zaprawdę są piękną muzyką dla wesołéj uczty!«

Tego już było zanadto. Te szydercze słowa wyczerpały cierpliwość Stefana.

»A któżto jesteś książę, iż śmiész obrażać młodą dziewczynę, kiedy ona w rozpaczy ujrzawszy piérwszy raz po swojém zbłądzeniu siwą głowę swojego ojca, o przebaczenie swego występku błaga? Nie lękaszże się ani Boga ani swego sumienia!«

»Boga?« odparł Wilhelm szyderczo, »boję go się, ale tylko na trzeźwo; teraz....«

»Jeszcze tych słów nie domówił, gdy już okręt o coś tak straszliwie uderzył, iż stoły, szklanki, srebrne naczynia i wszystko wraz z gośćmi potoczyło się na ziemię. Sam tylko Fitz-Stefan zatrzymał się na nogach i uchwycił córkę w ramiona. Nadstawił ucha i usłyszał: że po uderzeniu, szum bałwanu nastąpił.

»Zginęliśmy!« zawołał. »Okręt przedziurawiony — toniemy! — Książęta! Za mną, za mną na pokład!«

*

5.

Na pokładzie było już pełno majtków i służby, którzy w największéj trwodze i zamieszaniu tam i sam biegali.

»Spuścić łódź spiesznie!« krzyknął Fitz-Stefan.

Rozkaz jego został natychmiast wypełniony, a wszyscy podróżni rzucili się w tę stronę gdzie łódz puszczono, aby z tego ostatecznego środka zbawy korzystać mogli. Okręt nie dawał się już sterować; nie było więc czasu do utracenia.

»Najprzód wsiędą książęta!« krzyknął Stefan groźnym głosem, podniosłszy topor do góry. »Ktokolwiek, szlachcic czy prosty, chciałby przed książętami wsiąść do łodzi, może być pewnym iż tylko głowa jego tam spadnie. Królewic Wilhelm będzie piérwszy, który opuści okręt, a ja ostatni!«

Te słowa przywiodły służbę nieco do posłuszeństwa; rozstąpiła się i przepuściła królewiców. Gdy już Wilhelm, Ryszard i hrabina Matylda do łodzi wsiedli, obrócił się Stefan do jednego z majtków, który jeszcze poniekąd zachował przytomność swoję, i rzekł:

»Morze spokojne, i minęliśmy już próg skały. Dalsza podróż jest już bezpieczna, ale królewicowie potrzebują sternika; Robercie, wskocz do łodzi i zawieź ich do lądu. Niechcę aby mówiono, iż dbam tyle o własne ocalenie co o życie mych panów; lecz weź z sobą moję córkę. Ona, książęta, i ty — więcéj łódź nie pomieści.«

»Twoją córkę!« ozwało się nagle sto głosów. »Jakimżeto prawem ma ona wsiadać do statku, kiedy najpierwsi baronowie Anglii muszą pozostać. Nie, nie! Na to nie zezwolimy! Niech jeden los dzieli z nami.«

»Macie słuszność —« odpowiedział żeglarz! »ponieważ moja córka już się zhańbiła, niechże i o swoje życie nie stoi. Razem umrzemy. Robercie, siadaj sam do łodzi i prowadź ją do lądu. Lecz spiesz się co możesz, jeźli ci życie miłe.«

Stary kapitan pozostał na tonącym okręcie, trzymając swoją córkę w objęciu, a łódź odpłynęła na morze.

Alika, widokiem śmierci przerażona, zaczęła z rozpaczy żałośnie o pomoc wołać; jéj głos przeraźliwy wzruszył królewica Wilhelma, który dotąd milczał niewiedząc, czy swoją kochankę, czy swoich przyjaciół ma ratować.

Idąc za popędem litości, kazał majtkowi Robertowi nawrócić statek i pod okręt podpłynąć. Gdy się statek przybliżył, stary ojciec niemógł przenieść na sobie, aby nie rzucił swego dziecięcia w ramiona królewica. To stało się ha-

słem dla wszystkich pozostałych podróżnych rzucić się także do statku. Śród tego rozpaczającego tłumu widać było jednę atletyczną postać, która tak ciężko w łódź skoczyła, iż jéj widocznie nie tyle o zabezpieczenie własnego życia chodziło, jak raczéj aby zgon towarzyszy przyspieszyła. I w saméj istocie pod jéj brzemieniem łódź się przechybnęła, a wszyscy którzy się w niéj mieścili, przepadli w morza głębinach.

Tą postacią, tym człowiekiem — był Bertold.

6.

W téjże saméj chwili, wraz z łodzią zatonął także i okręt, jak owa matka, która nie może przeżyć skonu swego dziecięcia. W liczbie rozbitów, którzy w tem nieszczęściu nie postradali życia, był także królewic Wilhelm. Wydostawszy się znowu na powierzchnią wody, starał się przez niejaki czas wszelkiemi siłami uratować, ale wreszcie zaczęły mu ustawać siły, i już się zapowiadały piérwsze oznaki śmierci: uczuwał kurcz bolesny, zawrót głowy i szum w uszach. Gdy w ostatecznej śmiertelnéj trwodze wytęża szczątki sił swoich, trąca przypadkiem ręką o powróz, przymocowany jak się mu zdało do jakiegoś dużego kawału drzewa. Chwycił się konwulsyjnie czémprędzéj powrozu i przyciągając go całą mocą do siebie, dostał się na końcu do pływającego masztu. Maszt! to jeszcze nadzieja zbawy dla tonącego! Okręt Candide zatonął w pobliżu brzegów a za pomocą tego masztu można było jeszcze dobić się lądu. Wilhelm trzymał się ile możności nad wodą w nadziei, że może co dojrzy w swoję zbawę na przestrzeni morza, lecz noc była ciemna, i nic nie widział. Spędziwszy tak niejaki czas na miotanym od fal maszcie, jednym razem trącił głową o jakąś na wpół w morzu nurzającą się nogę. Bez wątpienia należała ona do człowieka, którego życie, podobnie jak i jego, zależało od tego masztu. Miał tedy w swéj walce z morzem sprzymierzeńca. W téj chwili wyszedł księżyc z-poza chmur obsłony i oświetlił ponurą postać Bertolda, siedzącego jak straszydło na maszcie. Rzeźnik z Rouen wypatrzył się z zadziwieniem na swego wysilonego wroga, i roziskrzył dziką radością twarz swoję:

»Ah — witaj mi, witaj dziedzicu królestwa Anglii!« rzekł z sardonicznym uśmiechem.

»Tak, ja to jestem; Bertoldzie, ratuj mię; pamiętaj, iż jestem synem twojego króla; od mego ocalenia spokojność Anglii zależy.«

»A cóż mnie to obchodzi?« odparł dziko Bertold. »Jesteś moim panem w Rouen, w Anglii, nawet na pokładzie okrętu, jak przed chwilą; to znaczy, jesteś za pomocą swoich przyjacioł i straży potężniejszy odemnie. Lecz tu jestem ja panem, książęciem, królem — bo tu jestem mocniejszy. Królestwem mojém ten maszt, który przed tobą w posiadłość wziąłem. Tu mam władzę śmierci i życia, ocalenia cię lub zabicia, i dla tego w moc potęgi mojéj wyganiam cię z królestwa mego, jakeś ty mnie z okrętu wygnał.«

»Nie odważysz się!« zawołał Wilhelm z całą dumą krwi królewskiéj.

»Nie odważę się? A kogoż się tu jako mojego pana mam lękać? — Jednego tylko morza!« odrzekł Bertold. »A morze lepszym panem od każdego innego pana. Zabija nas tylko w swoim gniewie, a i wtedy jeszcze często nas chroni od zguby. — I cóż przyszły mocarzu Anglii — gdzież teraz twoi strażnicy, którzy swemi strzały mieli mi przeszyć moję skórę bawolą? — Gdzież owi szlachetni panowie, którzy mię zabić mieli, jak ja moje woły zabijam? Ta źwierzęca siła, o któréj nie dawno z taką pogardą mówiłeś, nie zdaje mi się teraz tak niepotrzebną i podłą, jakeśto wtedy sądził. Pokłoń twą głowę angielski królewicu i poleć stwórcy swą duszę! Tu nié ma już przecież żadnéj szlachty, żadnego gminu, ni księcia ni poddanego... tu są tylko dwa wrogi i dwa świadki ich boju — morze i niebo! Rozkaż — dziedzicu Anglii niebu, niech ześle piorun na moją głowę! Rozkaż wałom morskim, niech mię pochłoną! Bo to jedyni przymierzeńcy — jedyne katy — którzyby ci teraz w pomoc przyjść mogły.« To mówiąc zaczął cisnąć rękę nieszczęśliwego Wilhelma.

»Bertoldzie — Bertoldzie — usłuchaj mię!« błagał Wilhelm czując jak żelazna ręka rzeźnika gniotła delikatne palce jego. »Mój ojciec kocha mię nadewszystko — jestem jego bożyszczem... Gdybyś mię uratował, jego wdzięczność byłaby bez granic. Obsypałby cię skarbami Bertoldzie.«

Rzeźnik, nie zważając na jego proźby, nie ustawał odrywać z niemą wściekłością rąk Wilhelma od powrozu, którego się oni konwulsyjnie trzymały.

»Bertoldzie, mój ojciec wyniósłby cię do stanu szlacheckiego, — uczyniłby cię namiestnikiem swoich prowincyj.«

Rzeźnik, nie mogąc oderwać od powrozu palców swéj ofiary, rzekł nareszcie, jakby miłosierdziem przejęty:

»Ha — niech i tak będzie; przebaczę ci, ale tylko pod jednym warunkiem...«

»Przyjmuję go — przyjmuję i dopełnię święcie!« zawołał Wilhelm skwapliwie.

»Oddaj mi Alikę tak cnotliwą i niewinną jak była dnia tego, gdyś ją poraz piérwszy obaczył. Cóż — nic mi nie odpowiadasz?.... A więc w przepaść z tobą nędzniku — bo już nie możesz naprawić nieszczęścia, któreś wyrządził, giń — morskim rybom na pastwę!«

»Bertoldzie! — Bertoldzie! — Nie sądź, aby twoja zbrodnia uszła bezkarnie. — Mój ojciec wynajdzie na ciebie niesłychane kary i męki, jakby był szukał najświetniejszych nagród i darów, gdybyś mnie był ocalił.«

»A któż powie, żem cię zabił? Wiatr i bałwany nie wydadzą, co tu między nami się stało.«

»Bóg się patrzy na twoję okrutną zemstę.«

»Bóg, który zna moje cierpienia a twoję zbrodnię, podał mi sam tę moc zemsty nad tobą. W przepaść zbrodniarzu!«

»Bertoldzie!« ozwał się w téj chwili głos, który niebył głosem książęcia.

Wilhelm obejrzał się po-za siebie i obaczył siwe włosy na powierzchni morza; dwie ręce uchwyciły się masztu, a promienie księżyca oświetliły głowę starego Stefana, którego przypadek i wełny morskie na miejsce tego okrutnego boju zagnały.

»Bertoldzie!« zawołał żeglarz błagalnym głosem. — »Zmiłuj się nad królewicem — jestem odpowiedzialnym za jego życie. Bertoldzie, muszę go wrócić zdrowym i całym Anglii, albo z nim zginąć razem.«

»A gdzież Alika — Alika?« wołał mściciel, »ocalałaż?«

»Gdybym ją był mógł znaleźć, trzymałbym ją teraz w mojém objęciu;« była odpowiedź ojca.

»Leć więc do nieba lub piekła!« wskrzyknął Bertold w boleści. »Wydarłeś ją nam potworo — szukajże jéj teraz w przestrzeniach wieczności!« To mówiąc uderzył tak potężnie pięścią w głowę książęcia, iż znikł od razu w głębinach morza.

»Teraz zajm' jego miejsce i wyleź na maszt,« rzekł do Stefana — »zmazałem hańbę, która twoje imię plamiła.«

»Bertoldzie,« odpowiedział ze smutkiem stary żeglarz, »dopełniając na nim swéj zemsty, skazałeś i mnie na śmierć. Jednę hańbę chciałeś zmyć drugą! Dowódzca okrętu Candide nie śmie teraz postać nogą na lądzie,

gdy syn królewski, który był powierzony jego pieczy, nie żyje więcéj. Jego żeglarska sława zniszczona. Dla nieszczęśliwego sam tylko grób pozostał, a dzięki niebu, łatwo mu tutaj znaléźć wieczny spoczynek.«

Starzec puścił się masztu, a zielonawe fale zwarły się na wieki nad jego głową.

*

7.

Tymczasem rozedniało a poranne słońce wznosząc się jasno na purpurowym wschodzie i oświécając spokojną teraz płaszczyznę morza, wykryło : czyny ciemnej nocy. Z niewyczerpaną olbrzymią siłą trzymał się Bertold miotanego od fal morskich masztu. Ożywiała go nadzieja znalezienia przynajmniéj zwłók swojéj ukochanéj Aliki pomiędzy pływającemi szczątkami. Długo już oglądał się nadaremnie, aż oto za jednym razem zdało mu się, iż ujrzał biały rąbek na powierzchni wody. Pędem błyskawicy puścił się wszystkiemi siły ku temu przedmiotowi i uchwycił wkrótce bladą i martwą postać dziewczyny w swoje ramiona.

W téj saméj chwili nadpłynął statek od brzegu ku ich pomocy; nie minęła godzina, a już się oboje znajdowali pod gościnnym dachem nadbrzeżnéj rybackiéj chaty.

Dołożono wszelkich starań aby przywieść do życia młodą dziewczynę; co się powiodło nareszcie; otworzyła oczy i ujrzała przy sobie narzeczonego — zbawcę swojego życia.

W tak cudowny sposób spełnił się los dwojga kochanków! —

## *WIADOMOŚCI LITERACKIE.*

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 16. i obejmuje: 1) Próba z podoraniem tłustki siewnéj (*madia sativa*) na nawóz zielony i porównanie użyźniających jéj własności z obornikiem zwierzęcym. 2) O użytku kwasu siarkowego w gospodarstwie rolniczém. 3) O hodowli trzody chlewnej. 4) Gorzelnictwo. 5) Wzmianka o krajowém pszczelnictwie, przez K. J. Turowskiego. 6) O sposobie doświadczenia czyli nasiona roślin postawnych są świeże i do siejby przydatne.

Z Warszawy: *Przegląd naukowy* Nr. 3. i 4. zawiera: Dalszy ciąg artykułu Karola Libelta »O posłannictwie dziejowém narodów«: Ludy germańskie na szczycie posłannictwa swego dziejowego. — Poezyja. Nowy okręt, przez J. W. S. — O niedorzeczności mniemań we względzie wynikającéj szkody z uprawy płodów pokarmowych na wywóz za granicę, rzecz napisana przez byłego prof. ekon. polit. w lyceum warszawskiem. (Dokończ.)

Wychodzi tu w języku polskim dzieło: *Spiewy historyczne cesarstwa rosyjskiego,* które obejmować będzie życie i panowanie każdego z monarchów rosyjskich począwszy od Ruryka w r. 862 aż do Alexandra cesarza r. 1825, opisane wiérszem porządkiem historycznym z przypisami objaśniającemi prozą do każdego śpiewu dołączonemi. Ogólnie śpiewów historycznych jest 69.

Wielkość Londynu. Czyniono już często rachunki i porównania, mające dać dokładne wyobrażenie o ogromie Londynu; nie znamy przecież bardziej uderzającego porównania jak następne obliczenie: Gdyby połączono razem mieszkańców miast Liverpool, Manchester, Birmingham, Leeds, Nottingham, Bristol, Newcastle, Cambridge, York i jeszcze innych sześćdziesiąt najznakomitszych miast Anglii (które są wszystkie wymienione) jeszczeby nie złożyły się razem na jeden Londyn; te bowiem 69 miast zawierają razem tylko 1.873,189 ludności, podczas gdy Londyn ma 487 mieszkańców więcéj. Potrzebaby sześćdziesiąt takich miast jak Exeter, aby zająć przestrzeń i rozległość Londynu, a to olbrzymie miasto wzrasta jeszcze ciągle tak znacznie, iż co trzy kwartały przybywa mu tyle nowéj ludności, ile całe miasto Exeter obejmuje. Ale zato jest téż miasto Londyn już tak ogrome, iż ta ciągle przybywająca ludność wcale się nie postrzega, jakby nie postrzeżono beczkę wody wlaną do morza.

Sławny gitarzysta polski Szepanowski — zapewne Szczepanowski — zwraca teraz na siebie uwagę całéj muzykalnéj publiczności paryzkiéj. Dwa »poranki muzykalne« (*matinées musicales*) które tenże artysta urządził w wielkiéj sali hotelu swojéj protektorki, księżny Czartoryskiéj, były bardzo licznie zwidzone od doboru wielkiego świata paryskiego.

Balon miedziany. Na przyszłe imieniny króla Ludwika Filipa chce pan Dupuis Delcourt wzlecieć swoim miedzianym balonem. Wynalazcy téj nowéj maszyny używają osobnego środka do zatykania szpar w balonie. Podczas jego rozdęcia obciągają go warstwą płynnego mydła, a powstające gdzieniegdzie bańki mydlane, pokazują uszkodzone miejsca balonu.

Przyjemności życia na wyspie Ceylon. Wszędzie na całym świecie musi myśliwy szukać zwierzyny; na jednéj tylko wyspie Ceylon bieży zwierzyna z niesłychaną śmiałością sama naprzeciw myśliwemu; a słowo »źwierzyna« oznacza tam wszystkie źwierzęta, zacząwszy od słonia aż do mrówki. Angielski jenerał Campbell opowiada między innémi co następuje: Jeźli mieszkaniec Ceylonu kładąc się spać znużony, zapomnie rozpalić wielki ogień około swego samotnego mieszkania, pewnie go przebudzi ogromny łoskot w nocy. Usłyszy gwałtowne do drzwi stukanie. Wstaje, otwiéra okno, i widzi — słonia, który spustoszywszy mu ogród, chce go jeszcze odwidzić w domu. Jeźli się spieszuie nie weźmie do obrony, słoń mu drzwi wywali i cały dom rozrzuci; zwołuje więc wszystkich ludzi, wszczyna wielki hałas, strzéla, rozpala duży ogień i dopiéro słoń się oddala. Albo na przykład, siedzi sobie osadnik wieczorem przy lampie i czyta pilnie książkę lub gazety. Nagle otacza go ciemność. Woła i łaje służących, ale ci temu nie winni że lampa zgasła, bo ćma nietoperzów wdarła się do izdebki, rzuciła się na światło i zgasiła lampę. Do tego są jeszcze te nietoperze daleko większe i śmielsze niźli nasze. Jednego razu kilka tysięcy takich ichmościów opadło kapitana Campbella, i ledwie z wielką biédą im uszedł. Że nieraz idąc do łóżka, znajdzie się w niem niedźwiadka, albo chcąc wdziéwać buty, ładną jadowitą gadzinę w butach, to nic dziwnego; takich i wiele innych podobnych, przyjemnych niespodzianek zdarza się tam często.

W Paryżu utworzono nowe francuzkie słowo czasowe. W trybie bezokolicznym brzmi ono »*polker*« i znaczy tańczyć *polkę*. Mówią więc Francuzi: *Je polke, tu polkes, nous polkons* i t. d.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.